

Tematy tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Czystki i zatory w sądach
- 15 Joanna Solska
Czas wprowadzić letnią sjęstę?

Polityka

- 18 Mariusz Janicki
Wiesław Władka
Programowy dylemat opozycji
- 21 Wojciech Szacki
Przedwyborczy pic PiS
- 24 Anna Dąbrowska
Modelowy sędzia „dobrej zmiany”

Społeczeństwo

- 26 Joanna Podgórska
Ile chłopca, ile pana w Polaku
- 30 Paweł Walewski
Przełom w leczeniu SM czy zwykły blef
- 33 Violetta Krasnowska
Niewinnie skazani?

Rynek

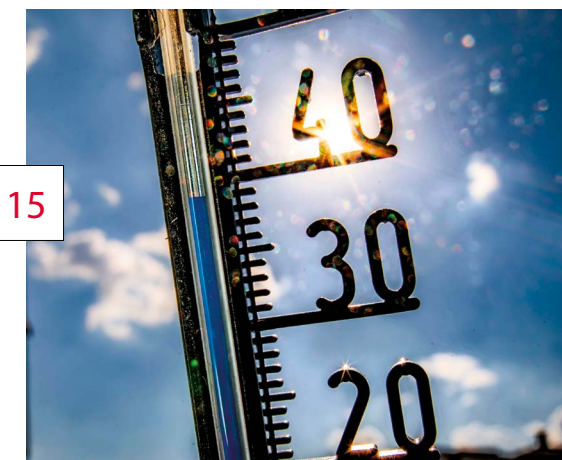
- 36 Marcin Piątek
Jak pompuje się publiczne pieniądze w piłkarskie studnie
- 39 Cezary Kowanda
Strajki w Ryanair
- 44 Przegląd informacji rynkowych

Świat

- 46 Ziemowit Szczerek WĘGRY
Marzenie o wielkich Węgrzech
- 49 Witold Pawłowski CHINY
Orwell w chińskim wydaniu
- 52 Adam Szostkiewicz WŁOCHY
Kościół przeciwko populizm
- 54 Rozmowa z Alą Goldblum-Elczewską
o tym, jak Duńczycy pomagają ofiarom tortur

Historia

- 56 Andrzej Krawczyk
Czechosłowacja 1968: samobój komunistów



15

O upałach na chłodno



18

Czy(m) zachwyci opozycja



46

Międzymorze Orbána



100

Sztukmistrzowie w Lublinie

- 59 Przemysław Urbańczyk
Chrobry w Kijowie

Nauka

- 62 Wojciech Mikołuszko
Rafa koralowa umiera!
- 65 Paweł Walewski
Zapiski ze szpitalnej orki
- 66 Paweł Ziemnicki
Czym zasiedlimy kosmos

Ludzie i style

- 68 Aleksandra Żelazińska
Wakacje ze zwierzakiem
- 71 Paweł Walewski
Woda wodzie nierówna

Kultura

- 78 Janusz Wróblewski
Dywizjon 303: zderzenie dwóch wizji
- 82 Piotr Sarzyński
Firma w galerii – czyli jak się wypromować poprzez sztukę
- 86 Andrzej Seweryn o swojej roli w serialu „Rojst” oraz o dzisiejszej Polsce i tej z czasów PRL
- 88 Marcin Zwierchowski
Fantastyczna fantastyka Ursuli K. Le Guin
- 92 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 93 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 100 Edyta Gietka
fotografie Anna Musiałówna
Zawieszeni nad miastem

Stałe rubryki

- 4 Mleczek i Mizerski
• 6 Ludzie i wydarzenia • 74 Afisz
• 94 Passent • 95 Chutnik i Plebanek
• 96 Stomma • 98 Do i od redakcji
• 99 Fusy • 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Mocno wyczerpane znamiona

Złodziej recydywista, przyłapany niedawno w Rybniku na kradzieży wiertarki za 168 zł, został przez policjanta grzecznie pouczony i wypuszczony po tym, jak oświadczył, że czynu tego dokonał, „gdyż nie ma pieniędzy na leki”, za swoje zachowanie przeprosił oraz zapewnił, że w przyszłości podobnego czynu nie popełni. Zdaniem policjanta udzielenie pouczenia było działaniem słusznym, gdyż „kreuje ono pozytywny wizerunek oraz uspołecznia działanie policji w społeczeństwie”.

Wizerunek ten już teraz jest zresztą na tyle pozytywny, że niektórzy obywatele sami zgłaszają się na komisariaty z informacją o tym, że popełnili ten lub inny czyn. „Jestem poszukiwany, ale do tej pory nikt do mnie nie dotarł” – tłumaczył członek KOD, który potajemnie założył koszulkę z napisem „konstytucja” na pomnik Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie, ale po kilku dniach ujawnił swoje personalia, aby ułatwić policji ustalenie, że to on. Zdarzenie to pokazuje, że sprawcy mają do policji zaufanie i nie widzą powodu, aby się ukrywać w sytuacji, kiedy mogą przyjąć i złożyć na siebie doniesienie. Co prawda na razie zjawisko dotyczy tylko sprawców rozmieszczających kartki z napisem „PZPR” i ubierających pomniki w koszulki z napisem „konstytucja”, ale mam nadzieję, że gdy wizerunek policji ulegnie dalszej

poprawie, zaczną się zgłaszać również zwykli oszuści, złodzieje czy sprawcy rozbojów.

Oczywiście zgłaszający się sprawcy nie powinni liczyć na ulgowe traktowanie w postaci pouczenia. W końcu upublicznienie kartki z napisem „PZPR” czy założenie pomnikowi koszulki z wyrazem „konstytucja” to nie jest kradzież wiertarki. Nie oszukujmy się: kradnąc wiertarkę, złodziej tej wiertarki nie znieważa, nie uchybia jej czci ani nie umniejsza jej wartości. Przeciwnie, on tę wiertarkę sobie ceni, gdyż dzięki jej sprzedaży będzie miał wreszcie na lekarstwa, których potrzebuje. Nie mówiąc o tym, że niewinna kradzież wiertarki ten sprawca nie propaguje żadnego totalitarnego ustroju, podczas gdy przyklejając kartkę z napisem „PZPR” na drzwiach biura posłów PiS, on nie tylko propaguje totalitarny ustrój, ale kto wie, czy nie znieważa tych drzwi i tych posłów. A ubierając pomnik w koszulkę z wypisanym na niej chamskim i nieprzyzwoitym słowem „konstytucja”, które ma coś tam sugerować, dodatkowo znieważa pomnik, partię rządzącą, prezydenta Dudę oraz nie wiadomo kogo jeszcze, ale uważam, że kogoś na pewno, bo sprawa jest rozwojowa. Prokuratura ustala właśnie, czy tymi czynami „zostały wyczerpane znamiona przestępstwa”, z tym że moim zdaniem bardziej od tych znamion wyczerpani są funkcjonariusze policji.





4xTAK

ZARABIAJ OD JUŻ!
GOTOWE LOKALE

INWESTUJ WYPOCZYWAJ WYNAJMUJ ZARABIAJ



RENTOWNOŚĆ 7%

SUN & SNOW RESIDENCE JASTRZĘBIA GÓRA

- najniższa cena na rynku od 4 400 zł m²
- tarasy z widokiem na morze
- basen
- metraże od 31 do 136 m²
- cena od 226 000 zł netto



WYKOŃCZENIE
W CENIE

SUN & SNOW RESORTS SZKLARSKA PORĘBA

- promocja: wykończenie w cenie
- basen kryty i sauna w obiekcie
- metraże od 27 do 55 m²
- cena od 218 000 zł netto



OSTATNIE
LOKALE

SUN & SNOW RESORTS KOŁOBRZEG

- pierwsza linia zabudowy od morza
- w bezpośrednim sąsiedztwie terenów Natura 2000
- basen kryty, sauna, kawiarnia
- metraże od 29 do 48 m²
- cena od 242 000 zł netto



JUŻ OD
8 500 za m²

SUN & SNOW RESORTS BIAŁKA TATRZAŃSKA

- 5 minut od stoku i Term Bania
- Restauracja, kawiarnia, bar
- narciarnie, pokoje zabaw, sauna
- bezpłatny skibus na stok
- metraże od 15 do 62 m²
- cena od 167 250 zł netto

Krok defiladowy



Jerzy Baczyński

Defilada wojskowa to dość szczególnie rodzaj patriotycznej liturgii. Dziś tylko autorytarne reżimy traktują takie parady serio, jako pokaz zwartości, dyscypliny, potęgi militarnej kraju. W demokracjach to już tylko państwowy spektakl, symboliczne przywołanie tradycji, chwały oręża, okazja, aby przypomnieć obywatelom o istnieniu sił (i wydatków) zbrojnych oraz oczywiście świąteczny festyn ludowy. Dalej to już rzecz gustu: jedni tego militarizmu nie cierpią, inni się autentycznie wzruszają, większość lubi sobie po prostu popatrzeć, bo publiczny pokaz mundurów, czółgów, armat, samolotów to zawsze jest atrakcja, zwłaszcza dla dzieci. Jednak w tym roku, gdy z okazji 100-lecia odzyskania niepodległości państwo polskie wydało, podobno największą w historii, defiladę wojskową wzdłuż Wisły, kto nie jest dzieckiem, musiał mieć poczucie, że cały ten patetyczny teatr jest fałszem podszyty.

Po pierwsze, obecna władza demonstracyjnie zawłaszcza, upartyjnia wszystkie uroczystości patriotyczne, czego świeżym przykładem brutalna próba odepchnięcia harcerzy i miasta Gdańska od uroczystości na Westerplatte. Po drugie, armia polska, zdaniem bodaj wszystkich liczących się ekspertów, została przez obecne rządy zdewastowana kadrowo, technicznie i moralnie. Wyrzucono z wojska kilkudziesięciu najbardziej doświadczonych, kompetentnych i wprowadzonych w struktury NATO generałów, zerwane zostały długo negocjowane kontrakty zbrojeniowe, nie mamy obiecanej broni rakietowej, śmigłowców, dronów, nawet mundurów i amunicji. A marynarka wojenna jest w takim stanie, że prezydent Duda jedzie do Australii, żeby kupić jakieś dwie przestarzałe, 30-letnie korwety. Więc nie tylko jubileuszowa, historyczna część defilady ma charakter występów amatorskich grup rekonstrukcyjnych, ale niestety całość. Żadna w tym wina żołnierzy, przeciwnie: oni są ofiarami niekompetentnej cywilnej władzy. Seria dramatycznych publicznych wypowiedzi wybitnych dowódców nie pozostawia wątpliwości: wojsko polskie znalazło się w opłakanym stanie. I nawet nie ma jak się bronić. Musi defilować.

Nowo mianowani z okazji Święta Wojska Polskiego generałowie także otrzymują swoje gwiazdki, chcąc nie chcąc, w roli dublerów, w miejsce niesprawiedliwie, często po chamsku potraktowanych kolegów. Zostać „pisowskim generałem” to trochę jak „pisowskim sędzią” – już zawsze z podejrzeniem konformizmu, sprzeniewierzenia się zawodowej etyce i koleżeńskiej solidarności. Wracają moralne dylematy, jakie starsze pokolenia doskonale pamiętają z czasów PRL. Czy ekspert, który zgodził się pomóc minister Zalewskiej w opracowaniu na łapę-capę podstaw programowych (właśnie po dwóch latach, dopiero po decyzji sądu, ministerstwo ujawniło nazwiska tych ekspertów), wspierał „deformę edukacji” czy tylko starał się (jak to dziś uzasadnia) ratować szkołę i uczniów przed zupełnym chaosem? Czy policjanci o świecie wdzierający się do domu człowieka, który na pomniku wywiesił napis „konstytucja”, muszą się na takie misje godzić? Czy legalni sędziowie powinni współorzekać razem z dublerami, przyjmować stanowiska z rąk nowej, politycznie

nominowanej KRS? Odchodzić na wymuszone emerytury czy trwać na posterunku i prosić władzę o zgodę na pracę? Politycy opozycji występować w TVP? Piosenkarze w Opolu? Profesorowie przyjmować nominacje z rąk Andrzeja Dudy? Przywlokło się za nami historyczne przekleństwo: państwo polskie przestaje być neutralne, staje się ideologiczne, napuszone, coraz bardziej obce i wrogie dla dużej części obywateli. I, co najgorsze, chce takim być.

Bodaj wszystkie dotychczasowe władze III RP rządzenie rozumiały jako urządzenie państwa, wprowadzanie nowych instytucji, tworzenie warunków prawnych wymuszających określone zachowania obywateli, firm, urzędników, organizacji, samorządów. Obecna władza nie chce rządzić państwem, ale rządzić – nakazywać, zakazywać, wydawać polecenia, kontrolować, karać, ułaskawiać. To zasadnicza różnica: państwo, zamiast wyznaczać ramy dla wolnej aktywności obywateli, staje się nadrzędne wobec społeczeństwa, jest instrumentem panowania i kontroli. Bynajmniej nie musi być represyjne, w takiej postaci jak było w PRL czy jak dziś obserwujemy w Rosji lub Turcji. Istota polega na tym, że nie musi, ale może. Że zaoranie wszelkich, leżących dotychczas poza zasięgiem władzy centralnej obszarów, a zwłaszcza sądownictwa, zmienia zasadniczo warunki społecznej gry, zmusza do ostrożności, konformizmu, mimikry. Protestujący muszą wiedzieć, że mogą być szykanowani, nachodzeni, wzywani; sędziowie i adwokaci, że gdzieś tam z daleka obserwuje ich partyjna Izba Dyscyplinarna SN, która może pozbawić prawa wykonywania zawodu; firmy, że państwo ma w rękach bardzo uciążliwe instytucje kontroli i może arbitralnie nakładać ogromne kary; opozycja, że służby specjalne, prokuratura i media państwowe będą szukać na nich haków i okazji do publicznych oskarżeń. Itd. Znamy to aż za dobrze z historii: opresyjna władza nie musi stale stosować przemocy wobec nieposłusznych i niegrzecznych; zwykle wystarczy to, co nazywa się efektem mrożącym.

Wciąż się zastanawiamy, czy taka operacja rekonstrukcyjna może się dziś w Polsce powieść? Jedną z kolejnych, ciekawych prób odpowiedzi przynosi nasz okładowy tekst, czyli ile w Polaku chłopca, ile szlachcica (Joanna Podgórska, s. 26). Mierzymy się z dwoma najsilniejszymi w naszej tradycji nurtami kulturowymi. Nie uprzedzając wyводу: współczesna demokracja liberalna wydaje się endemicznym wytworem zachodnio-europejskiego mieszczaństwa, dlatego marnie przyjmuje się na innych terytoriach historycznych. Nasza szlachecko-chłopska dwoista natura scala się natomiast w nieufności wobec instytucji państwa, w braku szacunku dla prawa, procedur, kompromisów, negocjacji. W Polsce przez stulecia naturalne były zależności o charakterze folwarcznym, a nie demokratycznym, zaś klanowe więzi silniejsze niż formalne. To niedobrze, bo nie ma kto bronić rozbijanych dziś instytucji, ale to dobrze, bo Polacy słabo trzymają krok defiladowy. Historycznie rzecz biorąc: tu się może nie udać demokracja, ale zamordyzm też nie.

Jan Koza



© JAN KOZA

Znieważanie konstytucja

Ewa Siedlecka



Pierwsze znieważenie za pomocą konstytucji miało miejsce w Białej Podlaskiej. Znieważono tam pomnik Lecha i Marii Kaczyńskich. Właściwie znieważono tylko byłego prezydenta: założono mu podkoszulkę z napisem „KonSTYtucJA”. Małżonkę oszczędzono. Chociaż nie jest do końca pewne, czy nie znieważyla jej bliskość takiego napisu. Policja i prokuratura to ustalają. Ustallili natomiast sprawców za pomocą monitoringu miejskiego. 67-lletniego mężczyznę zatrzymano o 6 rano w domu i powieziono na przesłuchanie. Drugiego w domu nie zastano – pracował w polu, jest rolnikiem. Sprawcom grozi odpowiedzialność z art. 261 Kodeksu karnego: „Kto znieważa pomnik lub inne miejsce publiczne urządzone w celu upamiętnienia zdarzenia historycznego lub uczczenia osoby, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności”.

Demoralizacja okazała się zaraźliwa. Dzień później znieważony został pomnik Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie. Policja o 6.30 rano usiłowała zatrzymać sprawcę w domu. Nie udało się, więc tylko dokonała przeszukania. Być może szukała podkoszułków przygotowanych do akcji znieważania? Bo u sprawcy z Białej Podlaskiej szukała nośników danych i telefonów, czyli chciała ustalić jego kontakty, okazuje się bowiem, że to przestępczość zorganizowana. W większości należą do niej działacze KOD z całej Polski, ale są też sprzymierzone grupy lokalne. Ich działania noszą cechy partyzantki miejskiej.

Akcja rozlała się na całą Polskę i nie dotyczy już tylko Lecha Kaczyńskiego. W Łodzi znieważono konstytucją pomniki na ul. Piotrkowskiej, w tym Juliana Tuwima i Misia Uszatka. Podczas znieważania Misia sprawców zatrzymała policja. I zawiozła na komisarjat, gdzie spisała i przesłuchała.

W Gdańsku odbyła się wręcz orgia znieważania. Na pierwszy ogień poszedł pomnik Neptuna, a potem koszulki z napisem „KonSTYtucJA” pojawiły się m.in. na pomnikach Jana Sobieskiego, Powiewu Wolności, Obrońców Poczty Polskiej i Świętopetka. Podobnie zmasowana akcja miała miejsce w Warszawie. Ofiarą konstytucji padła m.in. warszawska Syrenka i Kapela Praska.

Sprawcy w Kielcach (działający pod szyldem Opozycji Ulicznej) znieważyli najpierw pomnik dzika Kielka, potem Milesa Daviesa, a na koniec – Henryka Sienkiewicza. W znieważaniu uczestniczyła wnuczka pisarza, a na koniec sprawcy zrobili sobie zdjęcie ze znieważonym pomnikiem.

W Piotrkowie znieważono pomnik Kopernika i popiersie Wincentego Witosa. W Tarnobrzegu profesora Stanisława Pawłowskiego. W Rzeszowie – Jana Pakosiławica i Tadeusza Nalepy. W Toruniu – osła (tu napis brzmiał „KonSTYtucJA, osło”, sprawcy zarzekają się, że słowo „osło” odnosiło się wyłącznie do osła).

Doszło do tego, że konstytucją znieważono prezydenta Andrzeja Dudę. „ASZdziennik”, opatrując tekst stosownym zdjęciem, doniósł: „Ofiarą (...) padł właśnie Andrzej Duda, któremu w nocy Komitet Obrony Demokracji nałożył koszulkę z napisem »konstytucja«. Nieświadomy niczego Andrzej Duda od rana paradyje z koszulką z napisem wspierającym opozycję. W Pałacu

Prezydenckim i służbach trwa spór, czy informować głowę państwa o tym incydencie”. Przypomina się piosenka Kuby Sienkiewicza: „Wsiadł do autobusu człowiek z liściem na głowie, nikt go nie poratuje, nikt mu nic nie powie”.

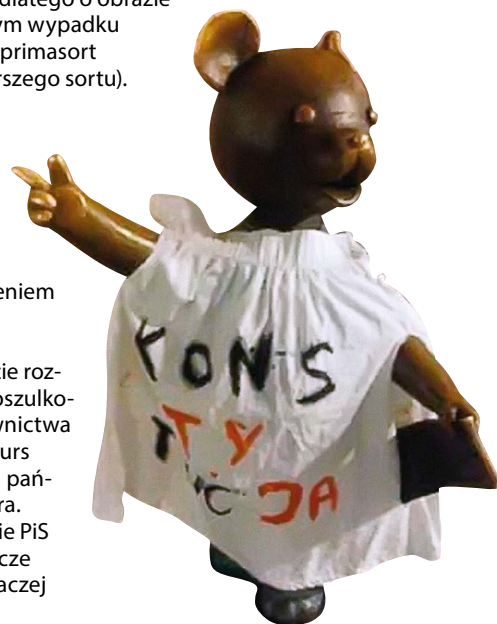
Policja i prokuratura działają. Rzecznik praw obywatelskich zwrócił się o wyjaśnienia, jakie zarzuty stawiane są sprawcom, co uzasadniało zatrzymywanie i spisywanie, i zabezpieczenie urządzeń elektronicznych zawierających kontakty. Tu akurat odpowiedź znana jest z góry: będzie jak znalazł do kolekcji zdjęć uczestników prokonstytucyjnych manifestacji i listy obywateli legitymowanych za zadawanie niewygodnych pytań na spotkaniach władzy z ludnością.

Prawdopodobnie akcja policji ma – poza gromadzeniem bazy danych o „trudnych obywatelach” – charakter głównie wychowawczy. Ale nie można wykluczyć, że dojdzie do postawienia sprawców w stan oskarżenia. I to będzie prawdziwa uczta dla prawników. Bo słowo „znieważenie” jednak coś konkretnego oznacza. Więc organy ścigania będą musiały dowieść, że słowo „konstytucja” jest obraźliwe. I teraz pytanie: subiektywnie czy obiektywnie? Np. czy tak samo obraża Tuwima jak Lecha Kaczyńskiego? Zresztą tu sprawa jest dodatkowo delikatna, bo prezydenci w Polsce „czuwają nad przestrzeganiem Konstytucji” (art. 126 konstytucji).

Interesujący jest pod tym względem przypadek Misia Uszatka, Syrenki warszawskiej czy dzika Kielka. Czy postaci fikcyjne, legendarne lub symboliczne też można znieważać? *Prima facie* – jak mówią prawnicy – raczej nie. Ale można tu zastosować tę samą konstrukcję prawną co przy przestępstwie obrazy uczuć religijnych. Tam ochronie podlegają uczucia właśnie. A sąd bada, czy wyznawca danej religii o przeciętnej wrażliwości poczułby się danym czynem obrażony. Więc tu w grę mogłyby wchodzić uczucia osób, które patrzą na np. **Misia Uszatka w koszulce „KonSTYtucJA”**. Czy to obraża ich uczucia do Misia? Można by też zbadać intencje twórców tej postaci: czy Uszatek miał jakiś stosunek do konstytucji?

Ale idąc tym tropem, komplikuje się sprawa zarzutów za znieważenie konstytucją pomnika Henryka Sienkiewicza. Skoro pochwała to jego wnuczka, która jest depozytariuszką czci osoby zmarłej jako najbliższa rodzina... Trzeba by dowieść, że jest wyrodną wnuczką i dlatego o obrazie pamięci osoby zmarłej w tym wypadku decydują uczucia Polaków primasort (w odróżnieniu od tych gorszego sortu).

Komplikacji prawnych jest wiele, ale organy ścigania sobie z nimi poradzą. Gorzej z sądami. Ale i na to może być rada. Minister sprawiedliwości może bowiem rozporządzeniem powoływać i znosić sądy. No więc niech powoła sąd, którego właściwością będzie rozpatrywanie przestępstw koszulkowych. Krajowa Rada Sądownictwa szybko przeprowadzi konkurs do tego sądu – i w pół roku państwo PiS ze sprawą się upora. I tak konstytucja w państwie PiS stała się słowem może jeszcze nie wulgarnym, ale takim raczej nie do pokazywania.





Zabawa bez prawa

Andrzej Duda jest jedynie wykonawcą politycznego planu prezesa PiS. Czy jednak Jarosławowi Kaczyńskiemu rzeczywiście zależy na zmianie ustrojowej i wprowadzeniu tej słynnej IV RP? A może to tylko żądza destrukcji?

Prezydent oświadczył w wywiadzie udzielonym „Dziennikowi Gazecie Prawnej”, że skłania się ku zawetowaniu nowelizacji ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego przepchniętej niedawno przez PiS przy jednogłośnie sprzeciwie opozycji. Oczywiście nie wiadomo, czy Andrzej Duda zrealizuje tę zapowiedź, bo konsekwencja w działaniu i silny charakter nie są jego mocnymi stronami. Nie wiadomo nawet, czy ewentualne prezydenckie weto byłoby jego własnym rozstrzygnięciem, czy też konsekwencją decyzji prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który uznał, że nowelizacja ordynacji wyborczej, pozbawiająca szans na mandaty średnie i mniejsze ugrupowania, zamiast wzmocnić szanse PiS, wymusi połączenie sił opozycji. Gdyby jednak weto prezydenta Dudy okazało się jego własną decyzją, byłaby ona racjonalna i zrozumiała.

Najważniejszym, a być może jedynym, politycznym celem Andrzeja Dudy jest jego reelekcja. Aby jednak przybliżyć szanse na nią, nie wystarczy samo poparcie twardego elektoratu PiS. Potrzebne są głosy sympatyków mniejszych ugrupowań i wyborców niemających sprecyzowanych i trwałych sympatii politycznych. Prezydent musi to rozumieć i dlatego od dłuższego czasu kokietuje ugrupowanie Pawła Kukiza, dla którego nowa ordynacja oznacza polityczną klęskę bądź konieczność bezwarunkowego podporządkowania się Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Duda miałby także osobiste, całkowicie zrozumiałe powody, aby trochę popuścić humor promotorowi jego politycznej kariery. W sprawie przeprowadzenia konsultacyjnego referendum konstytucyjnego, które było sztandarową inicjatywą prezydenta, został przecież potraktowany przez własne ugrupowanie jak ktoś, kto w istocie nie ma żadnego znaczenia. Kaczyński nie mógł w sposób bardziej dobitny pokazać Dudzie, jakie jest jego rzeczywiste miejsce w hierarchii obozu władzy. Trudno współczuć prezydentowi, gdyż nie dorósł do urzędu, który zajmuje: łamie konstytucję i posłusznie realizuje polityczne plany prezesa PiS. Można go jednak zrozumieć, jeśli w sprawie ordynacji wyborczej do europarlamentu chce wziąć swój mały rewanż.

Wywiad Andrzeja Dudy dla DGP potwierdza tylko, że pozostaje on lojalnym wykonawcą „dobrej zmiany” i ma swój poczesny udział w niszczeniu niezależności władzy sądowniczej. W przywołanej rozmowie prezydent powtórzył insynuację o niechlubnej przeszłości części sędziów zasiadających w Sądzie Najwyższym, co rzekomo „jest wstrząsające dla Polaków”. Nic nam jednak nie wiadomo, aby sam Andrzej Duda był wstrząśnięty z powodu zasiadania w latach 2006–07 w kierownictwie Ministerstwa Sprawiedliwości wraz z sędzią Andrzejem Kryżem, który w PRL skazywał w procesach politycznych. Najwyraźniej nie robi też na nim szczególnego wrażenia obecność byłego prokuratora stanu wojennego pana Piotrowicza na czele sejmowej komisji sprawiedliwości i praw człowieka.

Duda zarzuca za to środowiskom prawniczym „rozumowanie bardzo w stylu Kalego”. A to z powodu krytyki obecnego Trybunału Konstytucyjnego, w którym większość stanowią sędziowie wybrani

przez PiS, i braku takowej, kiedy większość stanowili tam sędziowie wybierani przez PO czy SLD. Najwyraźniej prezydent Duda udaje, że nie dostrzega istoty problemu, jaki mamy z Trybunałem Konstytucyjnym. Nie jest nim to, że jego większość stanowią nominaci obecnej władzy – chociaż istotne znaczenie ma fakt, że w przeszłości Sejm z reguły wybierał do TK prawników, najczęściej profesorów ze znaczącym dorobkiem naukowym, zaś obecnie nie dość, że prezesem tego organu jest pani magister, to jeszcze zasiada tam człowiek, który zataił swoją pracę w służbach specjalnych. Istotą problemu jest przecież to, że do TK nie zostali dopuszczeni trzej prawidłowo wybrani sędziowie, a ich miejsce zajęli dublerzy, którzy w świetle konstytucji i prawa nie są sędziami Trybunału Konstytucyjnego. Stało się to z walnym udziałem prezydenta Andrzeja Dudy.

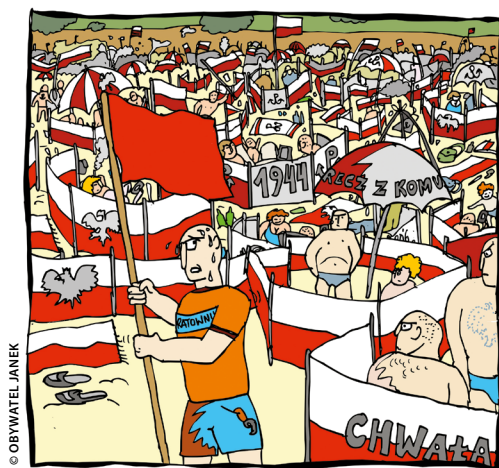
Prezydent wciąż cieszy się znacznym poparciem społecznym. Najwyższy czas, aby Polacy zaczęli uważniej przyglądać się merytorycznej zawartości tej prezydentury. Andrzej Duda jest tylko wykonawcą. Wszyscy przecież wiedzą, że autorem i reżyserem planu politycznego PiS jest Jarosław Kaczyński. Jaki ustrój państwa chce zbudować? Długo sądziłem, że zamierza być twórcą nowej konstytucji. O obecnej wyrażał się wszakże z pogardą, a po po-

wtórnym dojściu do władzy w 2015 r. kierował działaniami swego obozu, które gwałcąc, naciągając i obchodząc konstytucję, prowadziły do koncentrowania coraz większej władzy w jego rękach. Myślałem zatem, że zamierza – wzorem obozu sanacyjnego – zniszczenie ustroju parlamentarnego usankcjonować i utrwalić poprzez uchwalenie nowej konstytucji.

Dziś biorę pod uwagę, że się myliłem. Obecnie Jarosław Kaczyński sprawia wrażenie, że nie jest zainteresowany nową konstytucją. Świadczy o tym także sposób potraktowania konstytucyjnej inicjatywy prezydenta Dudy. Może raczej ma Lech Wałęsa, który twierdzi, że Kaczyński jest tylko destrukтором i nie umie budować. Może zadowala go posiadanie

wielkiej personalnej władzy tu i teraz, wynikającej z pozycji w partii politycznej, i nie przeszkadza mu, że realny system polityczny, który tworzy, ma się nijak do porządku opisanego w konstytucji? Może tylko bawi się państwem?

Argumentem na rzecz tej tezy jest zupełny brak starań ze strony prezesa PiS, aby instytucjom państwowym przejmowanym przez jego ugrupowanie nadać autorytet i powagę. Oczywiście nie byłoby to łatwe zadanie. Trudno jest znaleźć wybitnego prawnika, który w obecnych warunkach zgodziłby się być prezesem TK, SN czy przewodniczącym KRS. Jest jednak oczywiste, że teraz działa mechanizm negatywnej selekcji, a jedynym istotnym kryterium przy powoływaniu na te stanowiska jest posłuszeństwo, któremu często towarzyszy słaby charakter nominatów. W ten sposób nie buduje się poważnego państwa.



KOMENTARZ

Muzycy warci
posłuchania

Bartek Chaciński



Tablice, które wyświetlił na swoich sierpniowych występach w Polsce Roger Waters – „Konstytucja! Konstytucja!”, a później „Powstrzymać nieświęty związek państwa i Kościoła, szczególnie w Polsce!” – były najmocniejszym akcentem i tak gorącego politycznie koncertowego lata. Najmocniej oburzyło to prawicowych publicystów, a niektórych fanów skłoniło do kuriozalnych deklaracji o wyrzucaniu płyt Watersa. Na co pojawiały się odpowiedzi, że najłatwiej wyrzucać płyty, których się nigdy nie miało.

Rzeczywiście, trudno uwierzyć, że jeśli ktoś zna Watersa lub jego dawnych kolegów z Pink Floyd, mógł ich nie brać za lewicowców. Muzyk – opisany w odwiecie przez TVP Info jako „antysemita” – atakował prawicowe rządy w Izraelu tak samo jak mianem neofaszystów dziś opatruje Kaczyńskiego i Orbána. Z podobną przesadą, dla prowokacji, która też – jeśli ktoś się w etosie muzyki rockowej ostatniego półwiecza wychowywał – nie powinna dziwić.

Delikatne na tym tle słowa Micka Jaggera: „Jestem za stary, by być sędzią, ale jestem dość młody, by śpiewać”, wpisują się w ten sam nurt. Publicznie zaczepiony przez noblistę Lecha Wałęsę, coś powiedzieć musiał, choć zrobił to politycznie.

Tak by nie zrażać do siebie wszystkich i nie zepsuć grupie interesów. Wcześniej zespół Massive Attack na Open'erze prowokował hasłem „Unio Europejska, ratuj polskie sądy”, a grupa Pearl Jam w Polsce wyraziła solidarność z Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet i wypowiedziała się przeciwko zastrzeżeniu ustawy antyaborcyjnej. Z kolei Gorillaz (znów Open'er) poparli dążenia społeczności LGBT do wprowadzenia małżeństw jedнопłciowych. W ten sam weekend grupa osiłków z symbolami narodowymi próbująca zakłócić częstochowski marsz równości wykonała piosenkę „Zakaz pedałowania”, bezrefleksyjnie śpiewając to na melodię „Go West” jednego z najbardziej otwarcie gejowskich zespołów w historii, Village People. Utwór towarzyszy zresztą kibicom („Polska, biało-czerwonii!”) na meczach reprezentacji. Ten obrazek o kwestii zrozumienia przekazu muzyki rozrywkowej mówił więcej niż niejedna praca naukowa.

Czy coś się zmieniło? Na pewno nie światopogląd żadnego z tych przyjeżdżających do Polski wykonawców. Zmieniły się raczej poglądy wychowanych na Floydach i Stonesach ludzi, którzy dziś protestują, jak gdyby nie zauważyli, że polityka była istotnym tematem wypowiedzi ich idoli przez ostatnie pół wieku.

Zmieniło się jeszcze jedno: na świecie mamy znów gębę kraju uciskanego. A nasz rząd, parlament i Kościół katolicki – opinię opresyjnych i wartych zaatakowania z wolnościowych pozycji. Bo grający wielkie koncerty muzycy, owszem, często kalkulują przy takich wypowiedziach (stąd zapewne ten znak zapytania przy nazwisku Putina na tablicy o „rosnącym neofaszystwie” u Watersa), ale wyczuwać emocje potrafią jak mało kto i tu najwyraźniej najbardziej opłaca im się zająć stanowisko, niż tego unikać. A jeśli wszyscy mówią, że coś z nami nie tak, to tak jak gdyby wszyscy dookoła mówili, że jesteście pijani – rozsądniej posłuchać.

Mała potęga

Nasi lekkoatleci i działacze zapowiadali, że wybierają się do Berlina na mistrzostwa Europy po medale i przyzwoite miejsca. Słowa dotrzymali.

Podczas ostatniej takiej imprezy dwa lata temu w Amsterdamie Polska wyprzedziła resztę Europy w klasyfikacji medalowej, w której najbardziej liczą się zwycięstwa, a tych było sześć. I to był punkt odniesienia dla obecnej licznej, bo 86-osobowej, reprezentacji. Z Berlina nasza kadra znów wraca z workiem medali. To nie lada wyczyn. Ale czy to znaczy, że Polska jest znów lekkoatletyczną potęgą? Europejską – tak. Światową – nie. Przed berlińskimi zawodami Tomasz Kądział w „Gazecie Wyborczej” przytoczył dane, które jednoznacznie świadczą o tym, że na kolejnych igrzyskach olimpijskich torba z medalami reprezentantów naszego kontynentu w lekkiej atletyce jest coraz złejsza. Jeszcze w Sydney w 2000 r. znalazły się w niej 63 ze 141 krążków, w tym 22 z 47 złotych. W Rio w 2016 r. już tylko 38, a złotych zaledwie 12. Dzieje się tak, mimo że na stadionie w Berlinie w prawie wszystkich konkurencjach oglądamy zawodniczek i zawodników, którzy mają dalekie od Europy korzenie.

Na szczęście w co najmniej kilku konkurencjach Polacy są także faworytami mistrzostw światowych i olimpijskich.



„Złota sztafeta”
kobiet
4x400 m.

Chodzi oczywiście o rzuty i pchnięcia. Nikt by się nie zdziwił, gdyby Wojciech Nowicki i Paweł Fajdek z Tokio w 2020 r. przywieźli dwa medale w rzucie młotem. A czy byłyby wielką sensacją miejsca na podium naszych mistrzowskich kulmiotów Michała Harytyka i Konrada Bukowieckiego? Też nie, choć kandydatów do tytułu jest tu więcej. Kto wie, jak się potoczy kariera nakręconej mistrzostwem Pauliny Guby. Anita Włodarczyk – wiadomo. Mimo tegorocznego zachwiania formy, jeśli będzie zdrowie, można się spodziewać najlepszych wiadomości. Są jeszcze oszczepniczki, które nie

pojechały do Niemiec, ale w pełni sił mogą zawojować świat.

Jednak snucie olimpijskich planów z berlińskiej perspektywy ma ograniczony sens. W każdej albo prawie każdej konkurencji może się pojawić ktoś taki jak niespełna 18-letni Norweg Jacob Ingrebrigsten, który nie miał sobie równych w biegu na 1500 m (tu próbował mu dorównać nasz wicemistrz Marcin Lewandowski) i na 5000 m. Dla mnie największa gwiazda tych mistrzostw. Oby tylko nie dopadła go astma.

KRZYSZTOF MATLAK

Kolumbia się odmładza

Do polityki wszedł ledwie 4 lata temu, ale pochodzi z domu z tradycjami: ojciec był senatorem i ministrem kopalnictwa. W liceum założył kapelę rockową, ale studiował już jak trzeba – prawo w Waszyngtonie. 42-letni **Iván Duque** został najmłodszym prezydentem Kolumbii, kolejna nowa twarz na światowych salonach, a urząd będzie sprawował w tandemie z Marią Lucią Ramiréz, z kolei pierwszą w dziejach kobietą wiceprezydentem. Jest nowicjuszem, miał natomiast doświadczonego mentora Álvaro Uribe Véleza, konserwatywnego prezydenta w latach 2002–10.

W ostrej kampanii prócz klasycznych zaklęć: walki z korupcją i rozkręcenia gospodarki oraz zasypywania podziałów, istotną częścią była obietnica, że nowy prezydent zrewiduje porozumienie pokojowe z FARC, Rewolucyjnymi Siłami Zbrojnymi Kolumbii, podpisane dwa lata temu, które kładło kres trwającej pół wieku krwawej wojnie domowej.

Takie stanowisko zapewniło mu głosy osób przeciwnych porozumieniu, ale i stawka jest olbrzymia: FARC złożyło broń i w ramach historycznego kompromisu weszło do parlamentu. Duque szybko będzie musiał spróbować swych talentów, żeby nie zepsuć tego, co udało się osiągnąć. Z kolei Amerykanie domagają się ograniczenia upraw koki i bardziej stanowczej walki z narkotykami. A prezydent sąsiedniej niespokojnej i targanej kryzysem Wenezueli Nicolás Maduro niedawno oskarżył jego poprzednika na tym urzędzie Juana Manuela Santosa o współudział w zamachu na swoje życie. W Kolumbii jest już ponad milion Wenezuelczyków, którzy uciekli tu przed tragicznymi warunkami życia. I zaczyna to być narastający problem. Na początek były rockman ma więc parę pilnych spraw na głowie.



© REUTERS/FORUM (3)

Amerykańska armia kosmiczna

Witajcie w przyszłości, tej z fantastyki naukowej. Rząd prezydenta Donalda Trumpa chce utworzyć siły kosmiczne, szósty – obok już istniejących wojsk lądowych, marynarki wojennej, sił powietrznych, piechoty morskiej i straży przybrzeżnej – rodzaj amerykańskich wojsk. Wiceprezydent Mike Pence przedstawia to tak: dotąd kosmos był miejscem przyjaznym i bezpiecznym, teraz robi się tam tłoczno i płynie stamtąd coraz więcej zagrożeń. Naszedł czas, by przygotować się na okoliczność, gdy i przestrzeń pozaziemską stanie się polem bitwy.

Rywale są jasno wskazani. Chińczycy i Rosjanie intensywnie rozwijają technologie pozwalające na paraliżowanie, np. w drodze cyberataku, amerykańskich satelitów krążących po orbicie. Wywiad USA ostrzegał w lutym, że niebawem, nawet za 2–3 lata, Rosja i Chiny będą umiały zestrzelić satelity przeciwnika przy pomocy rakiet lub lasera, co w konsekwencji amerykańskie wojsko oślepi i ogłuszy. Satelity podtrzymują bowiem łączność i zapewniają



nawigację, spinają w jeden globalny system dowodzenia m.in. samoloty bezzałogowe, okręty podwodne, radary czy pojedynczych żołnierzy.

Sił kosmiczne miałyby powstawać od 2020 r., choć na razie napotykają przyziemne przeszkody. Szczegółowego planu i budżetu jeszcze nie ma. Konieczna do uzyskania jest też zgoda Kongresu, którego skład po jesiennych wyborach może nie być dla Trumpa sprzyjający. Jest oczywiście i krytyka: że za drogo, że masa biurokracji, że utworzenie korpusu kosmicznych żołnierzy jest policzkiem wymierzonym siłom powietrznym. Dotąd to głównie one zajmowały się wojskowym wymiarem kosmosu.

Zanim wyślemy miliardy, by zmilitaryzować kosmos, upewnijmy się, czy Amerykanie nie umierają, bo nie mają ubezpieczenia medycznego – apeluje lewicowy senator Bernie Sanders. Są też podejrzenia, że opowieść o przyszłych wojnach wokół Ziemi to tylko taktyczny chwyt, obliczony na potrzeby kampanii 2020 r. i reelekcję prezydenta. W każdym razie specjaliści spodziewają się, że same zapowiedzi ekipy Trumpa przyspieszą kosmiczny wyścig zbrojeń.



© GETTY (2)

Niemcy międzynarodowi

Niemal co czwarty Niemiec ma obce pochodzenie. Według statystyk za 2017 r. na 82 mln mieszkańców Niemiec 19,3 mln ma – jak się tam mówi – „tło migracyjne”, czyli co najmniej jedno z rodziców nie urodziło się w niemieckim obywatelstwem. W porównaniu z rokiem 2016 jest to wzrost o 4,4 proc.

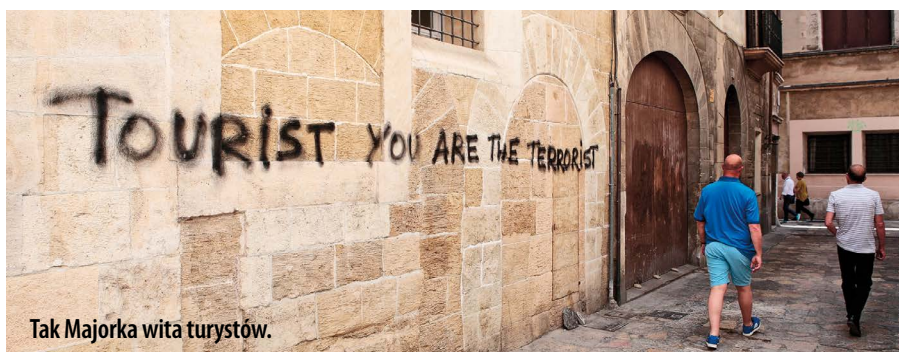
Ponad połowa (51 proc.) z tych 19,3 mln ma już niemiecki paszport, a 49 proc. to cudzoziemcy. Spośród wszystkich ludzi z „tłem migracyjnym” ok. 2,8 mln ma korzenie tureckie, 2,1 mln – polskie, 1,4 mln – rosyjskie, 1,2 mln – kazachskie i 900 tys. – rumuńskie, 800 tys. – włoskie, 700 tys. – syryjskie, pół miliona – greckie, po 300 tys. – bośniackie i bułgarskie, po 200 tys. – afgańskie, irańskie, chińskie, francuskie, czeskie i portugalskie.

Po raz pierwszy w badaniach uwzględniono też język, jakim migranci mówią w domu. Na 24 mln kilkusobowych gospodarstw domowych w Niemczech w 2,5 mln nie mówi się po niemiecku – najczęściej po turecku (17 proc.), rosyjsku (15), polsku (8) i arabsku (7). Użycie niemieckiego zależy od liczby osób w rodzinie z tłem migracyjnym; gdy ma je większość, to w rodzinie nie mówi się po niemiecku. Aż 13,3 mln osób „z tłem migracyjnym” – tzn. co szósty mieszkaniec Niemiec – osobiście wyemigrowało do Niemiec. Najczęstszy powód – względy rodzinne. Często to kobiety wychodzące za mąż za Niemców, krewne do opieki nad dziećmi i prowadzenia domu.

Zadeptana Europa

Tego lata w Europie padną niechybnie dwa rekordy: rekord temperatur, w pobliżu 50 st. C, i rekord odwiedzin turystów. Już ubiegłoroczny wynik był imponujący: z 1,3 mld pobyków turystycznych odnotowanych przez ONZ, 51 proc. przypadło na Europę; w tym roku będzie jeszcze więcej. Padną ubiegłoroczne rekordy: 87 mln turystów we Francji, 82 mln w Hiszpanii, 58 mln we Włoszech, Niemcy – 37 mln, ba, niewielką Holandię odwiedziło 17,9 mln osób. Kiedyś państwa promowały turystykę nakładem sporych środków, teraz odwiedzający sami się pchają. Mają tanie linie lotnicze, tańsze kwatery w Airbnb i rosnącą siłę nabywczą oraz ambicje, szczególnie w Chinach i Indiach. I do tego prawdziwa eksplozja biznesu wielkich statków wycieczkowych. Europę znów też pokochali Amerykanie, uzbrojeni w drogie dolary; wszystko tu jest dla nich śmiesznie tanie. A ocieplony klimat zachęca do dłuższych wakacji i wydłuża sezon.

Teraz raczej trzeba turystów zniechęcać. Rozrywkowa hiszpańska wyspa wywiesiła tego lata wielkie plakaty: „Turism kills



Tak Majorka wita turystów.

Mallorka!“. Grecja (27 mln przybyszów) wprowadziła podatek turystyczny od każdej nocy tu spędzonej, o podobnym myśli modna Islandia, gdzie turystów jest już 7 razy więcej niż mieszkańców. Dubrownik wprowadził limit dzienny 8 tys. odwiedzających słynną starówkę (a jeszcze wystąpiła w serialu „Gra o tron“ w Netflixie, co z wielokrotnością popęta). Barcelona, inny europejski faworyt, którą odwiedziło w ub.r. 32 mln osób, zamroziła budowę nowych hoteli w centrum, wprowadza limit odwiedzających słynny targ Boqueria, ale z kościołem Sagrada Familia tego już raczej nie da się zrobić. Wenecja ogranicza wizyty wielkich statków wycieczkowych

do 5 dziennie, lansuje całą lagunę i pobyt na stałym lądzie, ale i tak wszyscy chcą na plac św. Marka.

Takie miejsca zamieniają się szybko w parki rozrywki, gdzie nie ma miejsca dla lokalsów, jeśli nie pracują w usługach turystycznych. Tworzy się na naszych oczach jeden wielki Europa Disneyland, gdzie zwykły człowiek nie pomieszką, bo wszystko nastawione jest na zabawianie i dojenie przyjezdnych. Coraz większa część starego kontynentu, a aspiruje tu też nasz Kraków, zamienia się w turystowisko. Kasa jest niezła, nie można narzekać, tylko dlaczego tych ludzi jest aż tylu.

Przepowiednia trzech świnek

Wielkie wrażenie w chińskich mediach społecznościowych zrobił **projekt znaczka** na rozpoczynający się 5 lutego 2019 r. Rok Świni (zwany także Rokiem Dzika). Otóż przedstawiona na nim szczęśliwa rodzina świnek oprócz rodziców ma trójkę dzieci. Wielu uczestników internetowych dyskusji uznało, że to bardzo czytelny sygnał i zapowiedź złagodzenia oficjalnej polityki dotyczącej dzietności chińskich rodzin. Wątpiących przekonał argument, że w 2015 r., na Rok Małpy, przedstawiono rodzinę z dwójką małych,

i proszę bardzo: wszystko się sprawdziło. Został ogłoszony kres wprowadzonej w 1979 r. polityki jednego dziecka w rodzinie. Wtedy chodziło o drastyczny krok prowadzący do zmniejszenia populacji, z wszystkimi dramatycznymi konsekwencjami, z przymusową aborcją włącznie. Teraz dwójka dzieci w rodzinie miała złagodzić niekorzystne trendy demograficzne w chińskim społeczeństwie. Ale ta pronatalna odwilż trafiła na złe czasy: młodzi Chińczycy zmienili priorytety, chcą się dorobić, dłużej studiują, później zakładają rodziny. Rzadko decydują się na dziecko, nie mówiąc już o dwóch. Chiny mają jeden z najniższych na świecie wskaźnik urodzeń, poniżej granicy reprodukcji. W 2017 r. urodziło się o 630 tys. mniej dzieci niż rok wcześniej. W dodatku smutnym spadkiem po polityce jednego dziecka jest nadreprezentacja mężczyzn: jest ich o 33 mln więcej niż kobiet. Jak tak dalej pójdzie w 2050 r. co czwarty Chińczyk przekroczy 65 lat. Według prognoz w 2029 r. Chiny osiągną populacyjny wierzchołek 1,45 mld osób, a później liczba ludności będzie spadać. Władze od jakiegoś czasu zachęcają do większej dzietności, obiecują bonusy i przywileje. Przepowiednia „trzech świnek” ze znaczka jest więc bardzo prawdopodobna. Ale jeden znaczek raczej nie zdoła przekonać.



Tata kłapa

Najtańszy samochód świata już nie pojeździ. Produkowany w Indiach i przeznaczony głównie na tamtejszy rynek **Tata Nano** kosztował 100 tys. rupii, czyli około 6 tys. zł. Choć podczas premiery w 2009 r. wytwarzający go koncern zapowiadał, że „pierwszych 100 tys. właścicieli zostanie rozlosowanych wśród zapisujących się na auto”, to w tym roku na jego zakup zdecydowały się dopiero... trzy osoby. Na porażkę składają się fatalny marketing firmy, skandal z budową fabryki na ziemiach przeznaczonych pod rolnictwo oraz liczne historie o samozapłonach pojazdu i śmiertelnych wypadkach z jego udziałem. Okazało się też, że najbiedniejsi Indusi – do których była skierowana oferta – wolą zainwestować w droższy i używany samochód, niż pokazywać się na „skuterze na czterech kołach”, który zaczął się kojarzyć z niską pozycją społeczną.



Sądy: będzie gorzej

Ponad 80 proc. społeczeństwa chce reformy sądownictwa – ogłasza rządowa telewizja, rzekomo pokazując społeczne poparcie dla pisowskich ustaw sądowych. Ludzie chcą reformy sądów, ale tej PiS jeszcze nie przeprowadził.

EWA SIEDLECKA

Obóz władzy przeprowadza jedynie wymianę kadr, która nie tylko nie przełoży się na poprawę pracy sądów, ale ją pogorszy. Dlaczego ludzie chcą reformy? Przyczyny można podzielić na trzy grupy: obiektywne, subiektywne i wynikające z antysędziowskiej propagandy. Obiektywne to przewlekłość postępowań sądowych i utrudniony dostęp do wymiaru sprawiedliwości: za wysokie dla niektórych opłaty sądowe (te akurat PiS jeszcze podniósł) i wysokie koszty pomocy prawnej (z inicjatywy prezydenta poszerzono ostatnio prawo do pomocy bezpłatnej).

Powody subiektywne to przekonanie o niesprawiedliwości sądów. Choć, oczywiście, zdarzają się wyroki niesprawiedliwe obiektywnie, jak choćby skazanie Tomasza Komendy. Dlatego system sprawiedliwości powinien być tak zorganizowany, żeby była realna

szansa na naprawienie niesprawiedliwości przez odwołanie się od wyroku czy wznowienie postępowania.

Subiektywna niesprawiedliwość to, po pierwsze, znana prawda, że zawsze jedna strona jest niezadowolona z wyroku. Po drugie – ludzie czerpią swoją wiedzę o sądach z mediów, a te podają informacje wyłącznie o sprawach i wyrokach bulwersujących (co nie musi oznaczać, że wyrok był obiektywnie zły). Po trzecie – sędziowie nie dbają, by strony rozumiały wyrok. Nie potrafią go też tłumaczyć opinii publicznej. Umieją to robić niezadowoleni z wyroku adwokaci czy prokuratorzy – i to oni kształtują opinię o sprawiedliwości wyroku.

I wreszcie antysędziowska propaganda uprawiana przez polityków, która zaczęła się pod koniec lat 90. Że sądy są za łagodne dla przestępców – czemu przeczy choćby to, że mamy dwukrotnie wyższy poziom przynizacji, czyli liczbę więźniów na



© BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

100 tys. mieszkańców, niż wynosi średnia w Unii, chociaż nie mamy wyższej przestępczości.

Że sędziowie są zdemoralizowani i popełniają przestępstwa – czemu przeczą wyniki specjalnej komórki powołanej w Prokuraturze Krajowej do ścigania przestępstw sędziów i prokuratorów. Jej urobkiem jest głównie afera z korupcją i oszustwami w krakowskim Centrum Zakupów dla Sądownictwa, gdzie podejrzanymi i oskarżonymi są nie sędziowie, ale dyrektorzy sądów podlegli ministrowi sprawiedliwości. Sędzia jest jeden – były prezes Sądu Apelacyjnego w Krakowie – ale ma zarzut niezwiązany z orzekaniem.

Że sędziowie są z PRL – czemu przeczy średnia wieku sędziego: nieco ponad 40 lat, a więc wykształcili się już w III RP. Wreszcie: że sędziowie są kastą, która „sama siebie wybiera i sama sądzi”. Samow wybieranie i samosądzenie to akurat gwarancje sędziowskiej niezawisłości, bez których będziemy mieli sędziów na telefon, odpowiednio dobieranych i zastraszanych sankcjami dyscyplinarnymi i karnymi. Zresztą po reformie Krajowej Rady Sądownictwa sędziowie już się sami nie wybierają. Robią to politycy partii rządzącej. A po reformie Sądu Najwyższego nie będą się sami sądzić: osądzą ich wybrani do Izby Dyscyplinarnej prokuratorzy i wybrani przez senatorów partii rządzącej ławnicy. Na wniosek rzecznika dyscyplinarnego, wskazanego przez ministra-prokuratora generalnego, będą sędziom odbierać immunitet i wydalac z zawodu.

Tak więc „reformy” PiS odpowiadają wyłącznie na propagandę antysędziowską. A także – w ograniczonym zakresie – na poczucie o niesprawiedliwości sądów. Zakres ów ogranicza się do osób, które wierzą, że sędziowie dozorowani politycznie będą

bardziej sprawiedliwi, na co nie ma żadnych dowodów, a może być wręcz przeciwnie.

Co z przewlekłością postępowań? Pod rządami PiS wzrosła. Z rządowych danych wynika, że w zeszłym roku zwiększył się średni czas oczekiwania na osądzenie sprawy w pierwszej instancji z 55 do 77 dni. Obciążenie sędziów sprawami jest gigantyczne: w sądach rejonowych sędziowie mają średnio do osądzenia 995,8 sprawy rocznie (w tej liczbie nie ma spraw wieczystoksięgowych i załatwianych w e-sądzie). To znaczy, że dziennie (wziąwszy pod uwagę tylko dni robocze) powinni sądzić po pięć spraw. Ale to niemożliwe, bo w sądach jest za mało sal rozpraw, by wszyscy sędziowie mogli sądzić jednocześnie. Poza tym nie wystarcza dni roboczych na czytanie akt i przygotowywanie się do rozpraw. Dlatego sędziowie pracują w weekendy. W sądach wyższych instancji jest lepiej: na sędziego okręgowego przypada 305,8 sprawy, na apelacyjnego – 212,2 sprawy.

Obciążenie sędziów wzrosło, bo przez dwa lata swoich rządów minister Zbigniew Ziobro wstrzymywał ogłaszanie konkursów na wolne miejsca sędziowskie. Zebrało się ich z tysiąc, czyli jedna dziesiąta wszystkich etatów sędziowskich. Minister wstrzymywał konkursy mimo prośb prezesów sądów i czasem dramatycznej wręcz sytuacji, jak w Sądzie Rejonowym w Wołominie, gdzie sędziowie mieli po tysiąc spraw w referacie każdego miesiąca. Wstrzymywał konkursy z przyczyn wyłącznie politycznych: czekał na „reformę” KRS, by partia miała pełną kontrolę nad nominacjami. Więc świadomie przyczyniał się do przewlekłości spraw w sądach.

Rząd PiS nie wygospodarował też pieniędzy na podwyżki dla asystentów sędziów, referendarzy i obsługę sekretarską sędziów.

Zarabiają mniej, niż dostaliby na kasie w Biedronce (według danych Solidarności Pracowników Sądownictwa wynagrodzenia asystentów to niecałe 3 tys. netto, a pracowników sądowych – 1800 zł), więc masowo rezygnują. Z odpowiedzi ministerstwa na interpelację poselską wynika, że w 2017 r. z sądów odeszło 1309 pracowników, w tym 465 asystentów, 712 urzędników i 132 innych pracowników. Natomiast Solidarność Pracowników Sądownictwa podaje, że przez trzy lata z pracy odeszło 82 proc. asystentów sędziów, 42 proc. urzędników sądowych, 78 proc. innych pracowników sądów. Oczywiście jest też nabór, ale nowi nie mają doświadczenia i są mniej efektywni. Teraz na sądownictwo pieniędzy będzie jeszcze mniej, bo reformę Sądu Najwyższego, w tym środki na zorganizowanie dwóch nowych Izb: Dyscyplinarnej i Spraw Nadzwyczajnych, i na uposażenie ok. 70 nowych sędziów, zostaną wzięte z budżetu sądów powszechnych.

Tak więc na razie rządy PiS spowodowały większą przewlekłość w sądach i nic nie wskazuje, żeby miało się polepszyć. Bo trudno sobie wyobrazić, jak wymiana sędziów miałaby się przyczynić do usprawnienia pracy. Żaden polityk PiS tego nie wyjaśnił. Można śmiało założyć, że będzie wolniej i gorzej także dlatego, że przyjdą nowi sędziowie, bez doświadczenia.

Do usprawnienia sądów przyczyniłaby się reforma procedury, ale przez blisko trzy lata rządów PiS nic w tej sprawie nie zrobił. Jeśli coś przygotowuje, to po swojemu, czyli bez konsultacji z sędziami.

Chociaż przewlekłość jest faktem, to na tle UE nie wyglądamy źle. Mieścimy się w środku stawki, czasem nawet w czołówce. Tak wynika z Tablicy Wymiaru Sprawiedliwości – to badania, które Unia przeprowadza systematycznie, bazując głównie na danych rządowych i danych organizacji gospodarczych. Z danych od 2015 do 2017 i początku 2018 r. wynika, że jesteśmy w czołówce, jeśli chodzi o wpływ spraw: 4. miejsce na 27 krajów Unii. W czasie rozpatrywania wszystkich spraw mamy 6. miejsce, a spraw spornych – 12., przed np. Niemcami czy Francją. Ostatnie są Włochy – 3 tys. dni. U nas – ok. 500 dni. Nakłady na sądownictwo na głowę mieszkańca – 17. miejsce (ok. 50 euro). Liczba sędziów na 100 tys. mieszkańców – 9. miejsce, 26 sędziów (np. Niemcy – 24).